

Adam Kolasa

Fale

Żwir strzelał spod rowerowej opony. Były wakacje, upał jak na plakatach z biur podróży, tyle że od nas do morza było daleko i zamiast na przyjemną bryzę mogliśmy liczyć co najwyżej na cień starego dębu.

Długo w tym skwarze nie dało się wysiedzieć, a co dopiero jechać na rowerze. Na szczęście działka Karola była niedaleko. Mogliśmy wytrzymać te parę kilometrów biegnących przez pola i wiejskie drogi.

Kiedy sięgałem po nagrany od słońca bidon, usłyszałem, jak Karol krzyczy.

– Prawie jesteśmy! Widzę dach, który żeśmy łatali zeszłego lata. – Wskazał ręką w dół żwirowej drogi, prowadzącej do zadrzewionego terenu nad stawem, gdzie dziadek Karola dzierżawił kawałek ziemi. Razem z jego ojcem postawili tam małą chatę z desek i starych blach, żeby latem chłodzić się nad wodą. Ściągnąłem lyk ciepłej wody z bidonu, nacisnąłem mocniej na pedały i zjechałem w dół drogi.

Jak na robotę dorywczą z resztek, które zostały w ich gospodarstwie, chata wyglądała solidnie. Trochę jak barak starego inżyniera ze świata postapo, który zna swój fach, ale bardziej niż dbać o wygląd mieszkania, lubi sobie gołnąć. Dziadek Karola mógłby grać właśnie taką postać. Ponoć był trochę uzdolniony, a trochę szurnięty. Zafiksowany na punkcie sprzętów, które dopracowywał, udoskonalał, ale przede wszystkim przy których robił mnóstwo bałaganu. Rodzinny dom Karola to sterty śrubek, porozkładane narzędzia, kable wijące się po mokrej ziemi przy drewnianych wrotach warsztatu jego dziadka. Miało to swój urok, ale na co dzień łatwiej było znaleźć obcęgi albo klucze niż buty, o których zdarzało się, dość często, zapominać seniorowi rodu.

– Zobacz, myślałem, że zerwało po ostatniej burzy, ale nadal tam siedzi. Jak dziadzio przykręci antenę, to nie ma siły we wsi, żeby ją zdmuchnąć. Żadne trąby powietrzne, stary! – zaśmiał się Karol i wskazał na druty solidnie przykręcone do ściany baraku.

Nie był to talerz satelitarny ani miniantena do oglądania kanałów na wielkim ekranie. Dziadek Karola lubił elektronikę, ale za telewizją nie przepadał. Za to radio. . . radio to była inna rozmowa. Traktował radioodbiorniki

jak lampy Aladyna, które trzeba poczyścić, dopieścić, obejrzeć ze wszystkich stron, bo pewnie w każdej zaklęty jest dzin. Myśmy siedzieli na podwórku, zjadając jabłka, które wiatr strącił z przydomowego drzewa, i gapiliśmy się w telefony, a dziadek Karola szperał w swojej szopie przy sprzętach z poprzedniej epoki. Zbierał je od znajomych, kupował za grosze na targach antyków i naprawiał. Można było pomyśleć, że na sprzedaż, żeby zarobić, ale gdzie tam. Kiedy naprawił, odkładał na półkę i albo o nich zapominał, albo służyły mu jako nośniki części zamiennych do nowszych modeli, które kupował z pieniędzy zaoszczędzonych z rolniczej emerytury. Cała ściana w szopie dziadka stała ozdobiona tymi sprzętami. Wchodząc do warsztatu, wchodziło się jak do muzealnej sali z eksponatami, które można było dotykać, ustawiać, testować. Rzucaliśmy tylko na nie okiem trochę zafascynowani i przestraszeni, żeby czegoś nie zepsuć, a później wracaliśmy na podwórko, dalej grać czy gapić się w telefony.

Spojrzałem na Karola, który sięgał po klucze, żeby otworzyć blaszany domek.

– Czyli dalej tam jest, co? – bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, niż spytałem. – I coraz sprawniej je obsługujesz?

Karol tylko kiwnął głową i wszedł do środka. Tutaj było inaczej niż w warsztacie. Pomijając porządek i schludne wnętrza, bez żadnych śrubokrętów czy zakrętek, które mogłyby leżeć bezładnie na podłodze, w pomieszczeniu stało tylko jedno radio. Przykryte plastikowym kloszem, na starym drewnianym stoliku w centrum chaty.

– Zamknij drzwi – powiedział Karol, kiedy otwierał kluczem skrzynkę z korkami.

Przekręciłem zamek. W chacie było ciemno. Jedyne wąskie smugi światła przebijały się przez niewielkie szpary budynku, a drobinki kurzu tańczyły w tych cienkich, jasnych korytarzach.

Karol wyjął browarki z plecaka, wziąłem jednego. Ciepłe, ale kto by czekał, aż się schłodzi. Otworzyłem sobie i jemu, patrząc, jak podnosi plastikowy klosz i odpala radio.

Niby z Karolem wychowaliśmy się na telefonach, ale to nieprawda, że wszystko, czego potrzebujemy jest

wyłącznie za czarnym ekranem. To właśnie w tych ciężkich, metalowych, grubo ciosanych pokrętłach starego radia, w tej poźółkłej kartce, po której jeździ linia z częstotliwością, w tych wszystkich drgających wskazówkach tkwi jakaś magia. Obaj podskórnie czuliśmy, że stary radioodbiornik rzeczywiście wykonuje pracę, do czegoś służy, a nie tylko udaje, jest rodzajem zabawki, którą jakby dla uspokojenia nosimy w kieszeni.

– Zobaczmy, co tym razem słyhać – mówi Karol, biorąc ode mnie butelkę. Popija, krzywi się od temperatury, ale bierze drugi łyk. – Wstaw resztę do lodówki – dodaje i kręci pokrętłami, szuka.

Siadamy przy odbiorniku. Ostatnio byliśmy tu w zeszłe wakacje i nasłuchiwalimy. Karol śmieje się, że jego dziadek zrobił to radio, chyba żeby gadać z pilotami samolotów albo rakiet. Taki ma zasięg! To raczej niemożliwe, ale nie raz slyszeliśmy już dziwne języki, daleko spoza Europy, więc kto wie, jakie fale może złapać ta dziwna maszyna.

Antenę, mocno przytwierdzoną do chaty, zbudował dziadek Karola. Miała wyostrzyć sygnał i poprawić jakość przychodzących dźwięków. Przyjeżdżaliśmy tu czasem w gorące dni wakacji, żeby oderwać się od nudy i posłuchać świrów z podobnymi sprzętami albo takich, których jakimś cudem udało nam się podsłuchać. Co mają do powiedzenia?

– A pamiętasz tę laskę, co śpiewała jakieś arie operowe do mikrofonu? Wyobrażasz ją sobie? – pyta Karol, sącząc piwko. – Siedzi jakaś baba w szlafroku, umalowana jak klaun i ciśnie do mikrofonu „La, la, la, la-laaaa!”

– Albo ten małolat, co rapował, jakby na próbę. Jak nie wiadomo kto nadaje, to odważny – śmiałem się, kiedy Karol ustawiał częstotliwość.

– Były też te radia albo jakieś rozmowy, pamiętasz? Może arabski, może jakiś podobny język.

Sygnałów było mnóstwo. Trzeba przyznać dziadkowi Karola, że sprzęt, który tu przyniósł i zainstalował na środku wiekowego stolika, działał jak pudełko z podcastami. Tylko zamiast listy, lecisz w ciemno po kanałach i nie wiesz, na co trafisz. No i jest jedna różnica. Mikrofon. Jeśli chcesz, możesz odpowiedzieć tej babie od oper, młodemu raperowi, który skleja pierwsze rymy, czy tym wszystkim zagranicznym głosom, które bulgoczą jak wielki gar na kuchence.

Na początku odpowiadaliśmy coś dla śmiechu. Sypaliśmy przekleństwami i zmienialiśmy częstotliwość. Przecież nikt nas tu nie znajdzie, a nawet jeśli, to co nam

zrobi? Kiedy minęło to zachłyśnięcie się kontaktem, głównie słuchaliśmy. Wyobrażaliśmy sobie, kim są ci ludzie, jak wyglądają, gdzie mieszkają. Śmiałyśmy się z nich albo ignorowaliśmy i przełączaliśmy na kolejny głos. Te arie to mogło być przecież radio, a wcale nie baba, która siedziała przy stole i wyła, jakby występowała przed salą pełną widzów. Zastanawialiśmy się, kim jest młody raper, i śmiałyśmy się, że nawija w masce gazowej, dla lepszego klimatu. Każdy z tych głosów, niesiony nie wiadomo skąd, był dla nas częścią osoby, której życie i zachowanie sobie dopowiadaliśmy.

– Ćśśś! – zawołał Karol, kiedy w zeszłe wakacje komentowałem poważny głos starego faceta, który rzucał w eter swoje współrzędne. – Marcin, ciszej! Słyszysz?

Zacząłem nasłuchiwać. Dźwięk był przytłumiony, z szumami, ale w tle zacząłem rozpoznawać głosy. Męski głos, nerwowy, podniesiony, chyba ze wschodnim akcentem. W tle natłok dźwięków, trochę metalicznych. Jakiś grzmot.

Karol podgłaśnia, wskazówki radioodbiornika drżą jak szalone. Wgapiamy się w te wskaźniki, jakby były ekranem, a to przecież tylko pokrętła, kreski i linie. I te dźwięki. Huki, okropne huki i świsty, jak na filmach ze starych archiwów. Ludzkie głosy, które starają się być mocne, ale łamią się pod natłokiem grzmotów. Nie wiem, co mówią, nie rozumiem, ale brzmią znajomo, jak ludzie, których znamy, jak my, tylko są przesiąknięte strachem. Uderza nas wrzask, tak mocny, że piszczy w uszach i staje się nie do zniesienia. Karol przykręca jedno pokrętło i patrzy na mnie z rozszerzonymi oczami. Jest ciszej, pisk ustał, ale dalej słyhać huki, grzmoty, od których cierpnie skóra.

Nic nie mówimy. Gapiemy się na siebie z na wpół otwartymi gębami, ni tu słuchając, ni to czekając na dalszy ciąg. Wyłączam radio, Karol przykrywa je plastikowym kloszem. Podświetlenia gasną, wskazówki, które przed momentem drżały, opadają i leżą nieruchomo w martwym punkcie.

Wstaję i otwieram drzwi, żeby zaczerpnąć powietrza. Jest upalnie, powietrze stoi. Idę nad staw, żeby schłodzić się choć trochę, i siadam przy brzegu. Obok mnie Karol. Oddychamy głęboko, patrzymy przed siebie i milczymy. Nie wiemy, co powiedzieć. Nie musimy nic mówić.

Biorę pierwszy kamień i rzucając w taflę wody. Słyszymy plusk i widzimy fale rozchodzące się coraz szerzej i szerzej. Sięgam po kolejne kamienie.

– Są trochę jak radiowe, prawda? – pytam wreszcie, żeby przerwać ciszę. – Wychodzą z jednego miejsca i pełną powoli po wodzie. Im dalej od środka, tym stają się większe, aż w końcu znikają, rozplywają się.

– A my, z pomocą dziadka, możemy je łapać. – Karol uśmiecha się na moment, ale szybko poważnieje. Wiatr leniwie porusza wierzchołkami drzew, słychać szum, przebijany tylko pluskiem kamieni.

– Zastanawiałeś się kiedyś – pytam, rzucając kolejny, gdzieś na środek stawu – co się dzieje z kamieniami?

Karol kiwa przecząco głową.

Wstaję i patrzę na staw.

– Ja myślę, że przepadają. Pamiętasz kolor tego, którego rzuciłeś przed chwilą? Jego kształt? Ciężar? Zostają tylko fale, Karol. – Chwilę się zastanawiam i mówię dalej: – Chyba że ktoś, pasjonat czy świr, zanurkuje i wyjmie z dna te kamienie, wyżłobione przez wodę, chudsze, ja wiem, może bardziej gładkie? Wzniesie pod słońce, obejrzy i pewnie rzuci gdzieś dalej w wodę. I powstaną nowe fale, które znów będą sunęły po jeziorze.

Patrzymy jeszcze na staw, aż tafla się uspokoi. Odwracam się w stronę rowerów. Metalowe drzwi chaty bujają się na wietrze, to odsłaniając, to zasłaniając radiostację stojącą na środku drewnianego stolika wewnątrz blaszanego domu.



Adrianna Maciejak / PLSP w Supraślu

ADAM KOLASA

– rocznik '86, autor opowiadań, urodzony w Kielcach. Lubi krótkie formy prozatorskie i surowy styl opowieści, ceni eseje i reportaże, w szczególności te dotyczące losu jednostek w obliczu kryzysu. Współpracował m.in. z redakcją magazynu „Press” (2013–2015), publikował w magazynie „Fabularie” (2020), kwartalniku „Tlen Literacki” (2021), magazynie studenckim „Teksty (Nie)kulturalne” (2009–2010) oraz w serwisach zajmujących się fantastyką (2000–2005).